



**CZY RZĄDZA
NAMI DURNIE?**

W numerze:

Czy rządzą nami durnie?

Grzegorz Pytel 3

Wizyta posłów Knesetu, czyli nasze bicie piany

Aleksandra Rybińska 7

Polskim rodzicom dziecko może odebrać każdy

Krzysztof Bosak 9

Reforma samorządowa była klęską

Bartłomiej Radziejewski 11

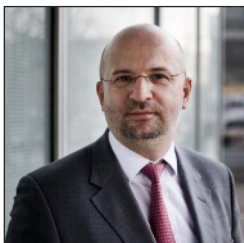
Pracodawcy i związkowcy muszą się porozumieć

Z Jeremim Mordasewiczem rozmawia Stefan Sękowski 14

Nowa era Gutenberga

Tomasz Pichór 18

Czy rządzą nami durnie?



GRZEGORZ PYTEL

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
specjalista od spraw energetycznych

Polska importuje węgiel i gaz, choć ma bogate złoża obu surowców na własnym terenie. Nie rozwija też infrastruktury, choć ma ku temu idealne warunki geograficzne. Jak to możliwe?

Mocne słowa często są pozbawione treści, jednak jedynie mocne i niezbyt przyjemne słowa mogą precyzyjnie, analitycznie opisać otaczającą nas rzeczywistość. Można by przytoczyć słynne określenie Stefana Kisielewskiego z 1968 r., który władzę komunistyczną ogarniętą totalistyczno-nacjonalistycznym szaleństwem nazwał dyktaturą ciemniaków.

Energetyka, „głupcze”...

Przy obecnie szybko rozwijającym się zapotrzebowaniu na źródła energii na świecie bezpieczeństwo energetyczne jest fundamentem rozwoju ekonomicznego. Polska ma największe zasoby węgla w Unii Europejskiej, a zaopatrzenie w Polsce w energię elektryczną opiera się w ponad 90 proc. na węglu.

Tymczasem zamiast stawać się coraz większym centrum wydobycia i najnowszych technologii przemysłu węglowego (np. produkcji paliw płynnych z węgla w technologii tzw. czystego węgla), wydobycie czarnego złota spada i oto Polska

stała się jego importerem netto, czyli rynkiem zbytu dla producentów zagranicznych.

Jest to o tyle istotne, że przy obecnym znacznym wzroście produkcji gazu z łupków w Stanach Zjednoczonych, tamtejsza energetyka przechodzi w coraz większym stopniu z węgla na gaz. Tym samym olbrzymie amerykańskie nadwyżki trafiają na rynki światowe. Gdzie wtedy ma się podziąć węgiel rosyjski? Czyż nie najlepszym rozwiązaniem dla niego jest stworzenie popytu poprzez zniszczenie polskiego górnictwa?

Wcześniej podobną operację wykonano już na polskim gazie. Polska swego czasu była pionierem rozwoju wydobycia i wykorzystania gazu ziemnego. Nic zresztą dziwnego, potwierdzone zasoby konwencjonalnego gazu ziemnego oraz tzw. metanu spod węgla są na poziomie ok. 20 lat zapotrzebowania krajowego. Zasoby perspektywiczne gazu konwencjonalnego wystarczą nam zaś zdaniem Państwowego Instytutu Geologicznego na kolejne 115 lat, a gazu w łupkach (w opinii najnowszego

raportu amerykańskiego Departamentu Energetyki) na dalsze 260.

Zatem obiektywne dane pokazują, że Polska jest faktycznym kolosem gazowym w środku Europy. Zamiast jednak odnosić z tego korzyści, została ona jednak skutecznie, za sprawą działań kolejnych polskich rządów, uzależniona od dostaw gazu z Rosji.

Analitycy rządowi z innych krajów i wielkich korporacji przyglądają się tej sytuacji. Ich wnioski są podstawą wewnętrznych ocen rządu polskiego w aspekcie kompetencji i spójności zarządzania. A wygląda to tak, jak wygląda: brak przysłowiowego sznurka do snopowiązałek w okresie żniw (w czasach realnego socjalizmu) to „pikuś” w porównaniu z tym, co się obecnie dzieje z polską energetyką.

Drogi, których nie ma

Jakby problemów z energetyką było mało, w Polsce od dawna kuleje również infrastruktura. Także bez żadnych racjonalnych przyczyn. Polska leży wszak na obszarze geograficznym, w którym – np. w odróżnieniu od Norwegii – można bardzo szybko, łatwo i tanio rozwinąć sieć dróg. Wystarczy spojrzeć na mapę Polski, aby zauważyć, że zaplanować efektywną sieć autostrad jest trywialnie prosto.

Nasz kraj jest położony prawie wyłącznie na obszarach równinnych i ma dość zwarty, czworokątny kształt. A więc łatwo wydedukować, że Polsce potrzebnych jest sześć autostrad: trzy z południa na północ, na zachodzie, w środku Polski i na wschodzie, oraz trzy z zachodu na wschód, na północy, w środku Polski i na południu. Taka sieć umożliwiłaby łatwe przemieszczanie się z i do każdego regionu kraju. Reszta dróg powinna zaś zostać

odpowiednio zmodernizowana i dobudowana do takiej prostej sieci.

Najważniejsza z tych autostrad prowadziłaby z południa na północ, przebiegając na ścianie wschodniej. Na południu w okolicy Rzeszowa rozwidlałaby się na Ukrainę i Słowację. Na północy jej przedłużenie stałoby się zaś kręgosłupem komunikacyjnym Litwy, Łotwy i Estonii. W ten sposób przedsiębiorca z Podkarpacia mógłby bardzo łatwo współpracować z kooperantami z krajów bałtyckich, aż po Finlandię (na północ), oraz z krajami południa Europy, poprzez Słowację.

Fundament siły lub słabości polskiej polityki zagranicznej jest w Polsce. Pytania na temat sprawności naszego państwa zadają sobie także analitycy innych rządów, a z odpowiedzi wyciągają wnioski

Ze względu na zapóźnienie ściany wschodniej zysk ekonomiczny z budowy takiej arterii komunikacyjnej byłby pionunujący. Zysk strategiczny, poprzez handlowe zbliżenie się z krajami bałtyckimi, południowymi i Ukrainą, też byłby spory. Tymczasem tej autostrady nie ma nawet w planach! Natomiast te, które w zółwym tempie powstają, są płatne, co ogranicza ich ekonomiczne korzyści dla rozwoju kraju.

Nie lepiej sytuacja wygląda w transporcie lotniczym. Polska będąca prawie 40-milionowym krajem, największym

w Europie Środkowo-Wschodniej, i rozwijającą się gospodarką, powinna być regionalnym centrum transportu lotniczego. Tymczasem porównanie polskich lotnisk nawet nie do lotniska we Frankfurcie, lecz nawet w Wiedniu lub Amsterdamie, czy do lotnisk w bardzo małych norweskich miastach nie wypada najlepiej.

Znowu mapa Polski pokazuje trywialność sytuacji, której rządzący Polską sprostać nie potrafią. Czy potrzebne są lotniska w Modlinie, na Okęciu i w Łodzi? Czyż naturalnym rozwiązaniem nie jest jedno duże lotnisko pomiędzy Warszawą a Łodzią z szybkim połączeniem drogowym (część jednej z autostrad zachód–wschód) oraz kolejowym?

Podobnie można spojrzeć na sprawę lotnisk w Krakowie i Katowicach. Czyż naturalnym rozwiązaniem nie byłoby lotnisko w połowie trasy pomiędzy Krakowem a Katowicami, przy trasie kolejowej i autostradzie A4? Takie lotnisko mogłoby obsłużyć aglomerację śląską, krakowską oraz, przy rozbudowaniu sieci dróg przy autostradzie i modernizacji kolei, praktycznie całą południowo-centralną Polskę, a nawet część Republiki Czeskiej.

Państwo musi mieć strategię

Jak pokazuje historia najlepszych gospodarek wolnorynkowych, rola państwa polega na stwarzaniu długoterminowych warunków rozwoju ekonomicznego. Częścią tego zadania jest zadbanie o rozwój spójnej infrastruktury, rozwój strategicznych gałęzi gospodarczych oraz zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego.

Takie podejście wymaga oczywiście spójnego długoterminowego planu oraz konsekwentnej i skutecznej jego realizacji. Jednak to właśnie owa realizacja jest jednym z testów sprawności państwa, jeżeli

nie jednym z głównych (obok rządów prawa i obronności) powodów jego istnienia.

Tempo realizacji długoterminowych projektów może spadać lub wzrastać na skutek okoliczności, których kontrolować się nie da. Jednak kierunek powinien być jeden. I każdy odchodzący rząd powinien przekazywać stan strategicznych projektów swoim następcom w celu kontynuacji.

Warto również podkreślić, że dla realizacji wielkich strategicznych inwestycji nie ma złych okresów ekonomicznych. Oczywiście w sensie fiskalnym okres prosperity wydaje się najbardziej sprzyjający. Jednakże okres kryzysów, wbrew pozorom, też jest sprzyjający.

Po pierwsze, w okresie kryzysu koszty realizacji projektów są najniższe. Po drugie, są to wydatki nie na konsumpcję, ale na projekty mające przynosić zwrot w postaci wyższego dochodu narodowego. Po trzecie, wielkie inwestycje ograniczają wydatki socjalne, zapewniając dodatkowe miejsca pracy. Po czwarte zaś, stają się kołem zamachowym wychodzenia z kryzysu dla reszty gospodarki.

Nie są to naturalnie pomysły zupełnie nowe na polskiej scenie politycznej. W oparciu o powyższe koncepcje zbudowano w okresie międzywojennym Gdynię i rozwijano Centralny Okręg Przemysłowy, a pozytywne efekty tych projektów odczuwamy do dzisiaj.

Odpowiedź jest przy urnie

Fundament siły lub słabości polskiej polityki zagranicznej jest w Polsce. Pytania na temat sprawności naszego państwa zadają sobie także analitycy innych rządów, a z odpowiedzi wyciągają wnioski. Wnioski te zaś rzutują na relacje handlowe, dyplomatyczne czy negocjacje o charakterze strategicznym, np. w procesie negocjacji

paktu klimatycznego i w wielu innych sprawach.

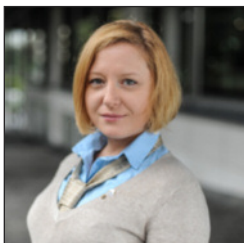
Każdy na pytanie „Czy rządzą nami durnie?” musi odpowiedzieć sobie sam. Widać jednak gołym okiem, że konsekwencje braku racjonalnych planów i ambicji na poziomie narodowym oraz ich skoordynowanej, konsekwentnej realizacji od ponad 20 lat ponosi cały kraj. Przywołując innego klasyka: „I kto za to płaci? Pani płaci, pan płaci... Społeczeństwo”. Jednak w odróżnieniu od czasów, gdy „Kisiel” nazwał rządzących ciemniakami, obecnie możemy naszemu niezadowoleniu

dać demokratyczny wyraz przy urnie wyborczej.

Od autora:

Niniejszy artykuł powstał w grudniu 2013 r. i nie prezentuje w całości poglądów autora. Przykłady zaczerpnięto z rozmów z przedstawicielami zagranicznych think tanków i doradcami innych rządów. Artykuł ten pokazuje, jak – za fasadą rytuałów dyplomacji – tematyka wewnętrzna Polski postrzegana jest za granicą.

Wizyta posłów Knesetu, czyli nasze bicie piany



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Podczas pobytu parlamentarzystów izraelskich nasza nieudolność splotła się z dość pechowymi okolicznościami. W takich sytuacjach zwykle mówi się „trudno” i idzie dalej. Zwykle, lecz nie w Polsce.

W poniedziałek z okazji 69. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu śmierci Auschwitz-Birkenau przyjechała do Polski duża grupa posłów izraelskiego parlamentu, Knesetu. Po oddaniu hołdu milionom pomordowanych Żydów delegacja spotkała się z posłami w Krakowie.

Przyjechali, oddali hołd, przemówili, wruszyli się, ścisnęli kilka rąk i wyjechali. I gdyby nie fakt, że część z nich utknęła na lotnisku w Krakowie, bo jeden z samolotów się zepsuł, nie byłoby się czym emocjonować. Mimo to emocji wokół wizyty było aż nadto.

„Z obywatelską aktywnością jest u nas zwykle dość marnie, ale gdy zachodzi podejrzenie, że polska racja stanu jest zagrożona poprzez – jak można było przeczytać na portalach narodowej prawicy – posiedzenie parlamentu »obcego państwa« na naszym terytorium, jesteśmy w stanie w kilka godzin zorganizować protesty i pikietę”. Kiedyś mówiło się: ruch jest wszystkim, cel niczym. „Teraz – jak to ujął w jednym z felietonów Maciej Rybiński – mamy do czynienia z nową formułą – powód

jest niczym, walka wszystkim. Powód może być kretyński, absurdalny, ale walka jest na serio, na noże, na pałki, te ontologiczne i zwykle”.

Jak się okazało, Izraelczycy wyjechali, a polska racja stanu pozostała nienaruszona, w całej swej niedoskonałości. Czego nie można powiedzieć o naszym wizerunku i naszej wiarygodności. Przed wizytą delegacji szumnie ogłoszono w mediach, że przy tej okazji dojdzie do przyjęcia rezolucji, w której parlament izraelski miałby potępić używanie kłamliwego określenia „polskie obozy koncentracyjne”. Nie doszło.

Po pierwsze, już co najmniej miesiąc przed wizytą delegacji w Krakowie z Tel Awiwu dobiegały sygnały, że Kneset nie jest tym specjalnie zainteresowany. „Staramy się nie nadawać temu wydarzeniu [wizycie w Polsce] formalnego znaczenia” – oświadczył rzecznik Knesetu Yotam Yakir.

Potwierdził to w „Rzeczpospolitej” miesiąc później, w dzień wizyty posłów Knesetu, ambasador Izraela w Polsce Zvi Rav-Ner. „Nie zostanie przyjęty żaden

dokument, bo nie są to oficjalne obrady Knesetu. Ma to charakter nieformalny” – mówił oraz dodał, że izraelski parlament nigdy nie dyskutował o określeniu „polskie obozy koncentracyjne”. „Zresztą nie jest ono w Izraelu używane” – stwierdził dyplomata.

Temat był też całkowicie nieobecny w izraelskich mediach. Próżno szukać choćby wzmianki o owym dokumencie, na którym polskiej stronie tak zależało. Tym bardziej dziwi bierna postawa Warszawy. Jeśli Izraelczycy nie rozumieli znaczenia tej rezolucji dla Polski, trzeba im to było wytłumaczyć. Wizyta w Polsce, dla niektórych z nich pierwsza, była do tego dobrą okazją. Nie została wykorzystana.

Nie doszło także do wydania wspólnego komunikatu przewodniczących delegacji izraelskiej i polskiej w tej sprawie. Choć – jak twierdzi członek polskiej delegacji Witold Waszczykowski, poseł PiS i były wiceszef MSZ – komunikat był już gotowy i w stanowczy sposób podkreślono w nim, że to nie Polacy ponoszą odpowiedzialność za Holocaust i obozy śmierci.

Powód braku wydania komunikatu jest dość prosty: w piątek, przed wizytą w Polsce, zmarła żona przewodniczącego izraelskiej delegacji, szefa Knesetu Juliego Edelszteina. Nie przyjechał on więc do Polski, w roli przewodniczących delegacji zastąpili go szefowie klubów parlamentarnych – Jariw Lewin z największej partii rządzącej Likud-Nasz Dom Izrael oraz Izaak Herzog z głównego ugrupowania opozycyjnego, Partii Pracy.

W odpowiedzi Warszawa również obniżyła rangę swej delegacji – marszałek

Ewę Kopacz zastąpił wicemarszałek Cezary Grabarczyk, także z PO. I nie miał kto komunikatu podpisać, bowiem z niezrozumiałych powodów przyjęto koncepcję, że mogą to uczynić tylko przewodniczący obu izb.

Jeśli Izraelczycy nie rozumieli, jakie znaczenie dla Polski ma rezolucja w sprawie obozów śmierci, to wizyta była dobrą okazją, by to wytłumaczyć. Nie została wykorzystana

Brak komunikatu, tak ważnego dla Polski, to tylko jedna strona medalu. Z Izraela przyjechało co najmniej czterech ministrów, wielu wiceministrów i wysocy rangą wojskowi. Nadarzyła się więc także okazja, by porozmawiać o kwestiach strategicznych. O obronności, wspólnych interesach gospodarczych itd. Problem w tym, że Izraelczycy nie mieli z kim rozmawiać. Platforma wysłała bowiem do boju kilkunastu posłów z tylnych ławek, a PSL jednego, którego nazwisko po raz pierwszy obilo mi się o uszy.

Ewidentnie miłościwie panująca nam koalicja nie potraktowała tego wydarzenia poważnie bądź uznała, że wobec piętrzących się trudności i oporu strony izraelskiej lepiej się od razu poddać. A przecież to nam, a nie Izraelczykom powinno na całej sprawie zależeć.

Polskim rodzicom dziecko może odebrać każdy



KRZYSZTOF BOSAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Po donosie złożonym przez komornika sąd ograniczył prawa rodzicielskie samotnej matce, bo była za biedna. Co gorsza, ta bulwersująca sprawa wpisuje się w cały cykl podobnych przypadków.

We wtorek 28 stycznia przed jednym z warszawskich sądów zapadł precedensowy wyrok. Sprawa jest tym bardziej wstrząsająca, że komornik składający doniesienie działał z intencją umożliwienia eksmisji wychowującej 14-letniego syna kobiety. Przeszkodą do usunięcia jej z mieszkania był zaś właśnie fakt, że miała ona na utrzymaniu nieletnie dziecko.

Dzięki wykorzystaniu aktualnych przepisów komornik sprawił, że dziecko przeszkadzające w eksmisji zostało odebrane z powodu złej sytuacji materialnej. W ten sposób stojącą mu na drodze przeszkodę urzędnik sprawnie wyeliminował.

Ta bulwersująca sprawa wpisuje się w cały cykl przypadków pokazujących, jak działa nowe prawo, które w zamyśle miało zapobiegać krzywdzeniu dzieci. Umożliwia ono ingerowanie w sytuację rodzinną każdego z nas przez dowolną osobę. Donosy mogą składać sąsiedzi i znajomi, zaś pracownicy socjalni do odebrania dziecka często nie potrzebują nawet wyroku sądu. Prawo pozwala wreszcie sądom na odbieranie dzieci, w sytuacji

gdym problemem jest nie przemoc, alkoholizm czy skrajne zaniedbanie dziecka, ale po prostu trwała lub tymczasowa bieda.

Tak było w przypadku nastolatka z Suwałk, który w styczniu popełnił samobójstwo po tym, gdy urzędnicy, pod nieobecność matki i psychologa, oznajmili mu, że zabierają go z domu. Inny głośny przypadek to sprawa państwa Bajkowskich, którzy akurat są w nie najgorszej sytuacji materialnej, a dzieci odebrano im na podstawie niekorzystnych opinii psychologów.

Cechą charakterystyczną tak skonstruowanego prawa jest wyposażenie urzędników (zarówno socjalnych, jak i pracujących w wymiarze sprawiedliwości) w nieproporcjonalnie duże kompetencje. Mogą oni w sprawach rodzinnych podejmować arbitralne decyzje, z których konsekwencji przed nikim w istocie nie muszą się tłumaczyć.

Autonomia rodziny została podważona, rola lokalnej wspólnoty (np. sąsiedztwa, gminy czy parafii) całkowicie pominięta, natomiast pracownicy sektora

publicznego stali się panami losu każdego dziecka, którego rodzice nie są dobrze sytuowani i potencjalnie wspierani przez skutecznych prawników.

Taki stan to realizacja programu nowej lewicy, wierzącej w zdolność aparatu państwowego do kształtowania życia każdego pojedynczego obywatela w zgodzie z administracyjnie przyjętym wzorcem „dobrego życia”.

Wymiar sprawiedliwości i instytucje opiekuńcze tracą swą tradycyjną funkcję – chronienia dzieci przed dręczeniem czy opieki nad sierotami. Państwo zaczyna badać życie dzieci i oceniać, czy jest ono „wystarczająco dobre”. Waży czynniki materialne i psychiczne. Ocenia, czy dziecko pozostawić rodzicom, czy komuś innemu, lepiej spełniającemu arbitralnie przyjęte standardy.

Wspomniane przypadki są zapewne symptomami szerszego trendu. Zapewne można by im także przeciwstawić sytuacje rzeczywistej krzywdy dzieci, której nie można było wystarczająco szybko zapobiec w poprzednim stanie prawnym. Niezależnie od takich szczegółowych rozważań, do których zawsze skłonni są eksperci, należy stwierdzić, że prawo obecnie pozostawia zbyt szerokie możliwości czynnikom państwowym.

Nie mamy żadnych racjonalnych powodów, by ufać w roztropność i kompetencje pedagogiczne sędziów, pracowników

socjalnych i psychologów tak bardzo, aby dawać im możliwość dokonywania swego rodzaju audytu funkcjonowania każdej, bynajmniej nie patologicznej, rodziny. Odbieranie dzieci przez sądy z powodu trudności wynikających z biedy jest w oczywisty sposób sprzeczne z prawem naturalnym i ta uwaga powinna zamykać dyskusję.

**Nowe prawo, które
w zamyśle miało zapobiegać
krzywdzeniu dzieci,
umożliwia ingerowanie
w sytuację rodzinną każdego
z nas przez dowolną osobę**

Przestroga dla nas musi być fakt, że ustawy umożliwiające odbieranie dzieci mimo braku bezspornych dowodów znęcania się nad nimi czy ich skrajnego zaniedbania przegłosowane zostały przez partie nominalnie prawicowe. Pokazuje to wyraźnie, że świadomość konserwatywnych pryncypiów jest na polskiej centroprawicy bardzo niska, a ugrupowania, na które głosuje tradycyjnie nastawiony elektorat, bywają narzędziem realizacji lewicowego w istocie programu.

Reforma samorządowa była klęską



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Jak słusznie pisze Matyja, podział administracyjny z 1998 r. ułatwił prowadzenie polityki regionalnej. Te zalety nie rekompensują jednak bezmiaru patologii, które przy tej okazji wytworzono.

Jednym z bardziej irytujących elementów reformy samorządowej z 1998 r. była dla mnie arogancja jej autorów. Doprowadziła ona do faktycznego zamknięcia debaty o tej ważnej zmianie ustrojowej, a przy okazji do lekceważenia, a niekiedy nawet lżenia jej krytyków i ich alternatywnych propozycji. Główny architekt tej reformy prof. Michał Kulesza stwierdził swego czasu, że „kto chce dziś podtrzymać funkcjonowanie tamtego ustroju administracyjnego, przedstawia się jako przeciwnik demokratycznej Polski i suwerenności jej systemu politycznego”.

Reductio ad sovieticum

O ironio, ten sam prof. Kulesza w latach 70. jednoznacznie popierał gierkowski projekt likwidacji powiatów i utworzenia 49 województw... Z kolei postkomuniści, początkowo niechętni powiatom, od 1993 r. – gdy zorientowali się, że ich szanse na obsadzenie nowych struktur swoimi ludźmi są wysokie – dołączyli do grona ich zwolenników. Tak oto ukształtował się

ponadpartyjny konsensus sił okrągłostołowych co do ram późniejszej reformy.

Przytoczona wypowiedź Kuleszy nie była odosobniona: w podobny sposób, chętnie sięgając do tyleż łatwego, ile obraźliwego *reductio ad sovieticum*, traktowano przez lata praktycznie każdy pomysł innego urzędnika polskiego samorządu niż ten, który wymyślili twórcy reformy przeprowadzonej za niesławnej koalicji AWS-UW.

Ten sam ton pobrzmiwa również w polemice z moim komentarzem o „Polsce 49” Leszka Millera, pióra niezwykle cenionego przeze mnie Rafała Matyi. Jeden z najprzenikliwszych analityków polskiej polityki zaczyna od wytknięcia mi rzekomego „odrzućcenia decentralizacji”. Sądzę jednak, że w naszym sporze to mój adwersarz jest – skoro już na tej płaszczyźnie rozmawiamy – o wiele bardziej centralistyczny.

Zacznijmy od ogólnego stwierdzenia, że ustrój administracyjny każdego państwa można urządzić na różne, alternatywne sposoby, z których żaden nie jest jedynym

możliwym sposobem decentralizacji. Również polski samorząd można było budować zarówno w oparciu o koncepcję prof. Kuleszy et consortes, jak i, np., o alternatywny pomysł 49 powiato-województw.

Można było również powołać 16 dużych województw bez tworzenia powiatów, bo już od 1990 r. ustawa o samorządzie gminnym dawała możliwość tworzenia związków gmin, w tym gmin wiodących, które sprawniej niż powiaty mogłyby wykonywać praktycznie te same co one funkcje.

Byłaby to struktura o wiele bardziej samoregulująca się, samorządna i elastyczna (a przy okazji dużo tańsza) niż odgórne wyznaczenie ponad 300 nowych powiatowych centrów administracyjnych, które Matyja zdaje się uważać za jedynie słuszny pomysł na decentralizację.

Hodowla biurokratów

Przy okazji mój polemista ujawnia zdumiewające założenie, stojące za jego obroną reformy z 1998 r. Sądzi najwyraźniej, że świetnym sposobem na dowartościowanie miast prowincjonalnych jest obdarowanie ich przez Warszawę dodatkowymi urzędnikami.

Taka właśnie logika stoi za jego wyliczeniami, mającymi dowieść, że więcej Polaków „zyskało” na utworzeniu powiatów, niż „straciło” na zmniejszeniu liczby województw. Przypomnijmy, że 10 lat po reformie z 1998 r. w polskich samorządach przybyło ponad 120 tys. nowych urzędników.

Odrzucam to rozumowanie. Polska jest jednym z najbardziej zbiurokratyzowanych państw świata: w horrendalnie przerośniętym sektorze publicznym pracuje niemal co czwarty (3,5 mln osób) zatrudniony, jego wydatki stanowią ok. 45 proc. PKB. Przy tym liczba ta zupełnie

nie przekłada się na jakość państwa i usług publicznych. Wręcz przeciwnie, stworzono gęstą sieć nadregulacji, umożliwiającą niezliczonym sitwom i klikom pasożytnicze na państwie.

Matyja wyraźnie lekceważy problem kosztów reformy administracyjnej, a zarazem próbuje zredukować do niego moją krytykę samorządowych patologii. W obu przypadkach strzela jednak kulą w płot.

Mój adwersarz sądzi najwyraźniej, że świetnym sposobem na dowartościowanie miast prowincjonalnych jest obdarowanie ich dodatkowymi urzędnikami

W pierwszym, bo czy rzeczywiście biedny kraj, z lawinowo rosnącym zadłużeniem, może sobie pozwolić na wydawanie lekką ręką grubych miliardów złotych, tak jak Polska przy reformie samorządowej? Pytanie retoryczne, zdawałoby się.

Władza i świecidełka

Jednak Matyja chybi i w drugiej sprawie. Wbrew temu, co pisze, nie ograniczyłem się w poprzednim tekście do argumentów przeciwko kosztom reformy samorządowej. Zasygnalizowałem też problem konfliktogenego skrzyżowania kompetencji gmin i powiatów, nieefektywnego nadzoru, fikcji organizacyjnej przekształcenia dawnych urzędów wojewódzkich w zamieszcowe.

To ostatnie można by nazwać wielkim oszustwem lub skrajną nieudolnością ze

strony autorów reformy z 1998 r.: z jednej strony odsądzała przeciwników – i samorządowy „ancien régime” – od czci i wiary, z drugiej, nie przeprowadzili faktycznej likwidacji dawnych struktur.

Zresztą, podając przekraczające 600 mln różnice w wyliczeniach kosztów reformy samorządowej, chciałem pokazać nie tylko, że przedsięwzięcie było za drogie. Każdy, kto miał okazję prowadzić w Polsce biznes czy fundację, wie, że bez dokładnej znajomości budżetu ani rusz. Skoro autorzy wielkiej reformy administracyjnej nie są w stanie podać nawet przybliżonego kosztu swojej działalności, jest to jaskrawy dowód ich niekompetencji i nieodpowiedzialności.

Tylko dzięki pominięciu tych kwestii może Matyja twierdzić, że „uporządkowanie systemu administracji państwowej w terenie” zostało „w znacznym stopniu osiągnięte”.

Broniąc jak lew reformy z 1998 r., autor „Konserwatyizmu po komunizmie” zaskakuje także wówczas, gdy pisze, że „zadania wydzielone w ramach reform samorządowych były jednym z niewielu pól, jakie administracyjno-polityczna elita z Warszawy oddała komukolwiek spoza jej kręgu pod kontrolę”.

Mam odwrotne zdanie: elity okrągłostołowe były wręcz nadgorliwe w oddawaniu realnej władzy politycznej. Działo się tak, począwszy od nazwanego myląco nazwiskiem Leszka Balcerowicza planu Sorosa i Sachsa, który na długo przesądził o kształcie polskiej gospodarki. Poprzez liczne umowy i arbitraże międzynarodowe. Aż po – delikatnie rzecz ujmując – mało asertywne negocjacje akcesyjne z Unią Europejską czy później przy okazji traktatu Lizbońskiego albo paktu klimatycznego.

Tak więc kompradorskie elity polskie od dwudziestu pięciu lat ochoczo re-

zygnują z resztek prawdziwej władzy, dbając zarazem o to, by pula „świecidełek” w zdegenerowanym sektorze publicznym pozostawała na tyle duża, by nasycić ich niskie apetyty. Opisana przez prof. Staniszkis „karuzela stanowisk” musi się kręcić bez końca.

Czy rzeczywiście mamy mocne podstawy, by sądzić, że reforma samorządowa była tu chlubnym wyjątkiem? Nie sądzę. Z punktu widzenia patologicznej logiki naszej klasy politycznej – i postsolidarnościowej, i postkomunistycznej – przyniosła bowiem kolejne rozmnożenie owych „świecidełek” – choćby w postaci kolejnych dziesiątek tysięcy etatów do rozdania politycznym klientom. Ale przecież także kolejnych samorządowych zleceń i spółek, gospodarowanych „po uważaniu”, najczęściej poza jakąkolwiek społeczną kontrolą.

Przyznaję, że reforma z 1998 r. ułatwiła – jak słusznie pisze Matyja – prowadzenie polityki regionalnej. Niewątpliwie też 16 województw lepiej niż 49 pasuje do układu przestrzennego Polski. Niemniej nie uważam tych zalet za wystarczającą rekompensatę bezmiaru patologii, które przy tej okazji wytworzono lub rozmnożono.

Natomiast propozycja powrotu do dawnej struktury ze strony Millera budzi mój entuzjazm nie sama w sobie. Bo jest oczywiście zbyt prosta, nie ma też mocnych podstaw, żeby sądzić, że byłaby poważnie realizowana. Traktuję ją jednak jako asumpt do przełamania milczenia w sprawie samorządowych patologii i wznowienia debaty ustrojowej.

Czytaj Również

„Polska 49”, czyli Millera strzał w dziesiątkę

„Polska 49” to absurd

Pracodawcy i związkowcy muszą się porozumieć

Z Jeremim Mordasewiczem
rozmawia Stefan Sękowski



JEREMI MORDASEWICZ

Przedsiębiorca, doradca zarządu Konfederacji Lewiatan

Związkowcy przypisują winę tylko rządowi, ale nie mają racji. W Komisji Trójstronnej wszyscy za bardzo broniliśmy swoich pozycji, a zbyt mało wsłuchiwalismy się w racje partnerów.

Dlaczego załamał się dialog między pracodawcami, związkami zawodowymi a rządem? Kto zawinił?

Wszystkie strony. Związkowcy przypisują winę tylko rządowi, ale nie mają racji. Wszyscy za bardzo broniliśmy swoich pozycji, zbyt mało wsłuchiwalismy się w racje partnerów. Przykładowo: związki zawodowe nie przyjmowały argumentów o złej sytuacji finansów publicznych. Nie zauważały też chronicznego deficytu systemu emerytalnego. W ubiegłym roku wpływy ze składek wyniosły 110 mld zł, na emerytury wydano 190 mld zł. Długo walczyli o utrzymanie niskiego wieku emerytalnego.

Zaczął pan od win związkowców – ale czy pracodawcy nie mają sobie nic do zarzucenia?

Oczywiście, że mamy. Na przykład to, że zbyt często zawiera się umowy na czas określony. Ponadto widać zbyt częste sięganie po umowy cywilno-prawne. Pozwalają one obniżyć koszty pracy, łatwiej również rozstać się z pracownikiem. Jednak zapominamy przy tym o naturalnej potrzebie poczucia bezpieczeństwa. Jako Lewiatan wyciągnęliśmy wnioski i poparliśmy pomysł oskładkowania zleceń do poziomu minimalnego wynagrodzenia.

Które przyniesie korzyści tylko finansom publicznym. Poczucia bezpieczeństwa pracowników jednak nie zwiększy, ponieważ wysokość przyszłych państwowych emerytur stoi pod znakiem zapytania.

W nowym systemie emerytalnym wysokość emerytury zależy przede wszystkim

od wpłaconych składek i oczekiwanego czasu życia po przejściu na emeryturę. Oskładkowanie umów-zleceń nie rozwiąże problemu deficytu systemu emerytalno-rentowego (rzędu 80 mld zł), bo przyniesie dodatkowo niecały miliard, lecz zwiększy emerytury osób pracujących na zlecenie.

Poza tym waloryzacja składek zapisanych na naszych indywidualnych rachunkach w ZUS i w konsekwencji wysokość przyszłych emerytur zależy od liczby pracujących i wielkości płaconych przez nich składek. Emerytury będą tym wyższe, im więcej osób będzie pracowało i im wyższe będą wynagrodzenia. A wzrost wynagrodzeń podąża za wzrostem wydajności pracy. Obecnie produktywność na godzinę pracy w Polsce wynosi 10 euro, a dla porównania w Niemczech 42 euro. Jeżeli chcemy mieć wyższe emerytury, musimy więcej inwestować, aby modernizować przedsiębiorstwa, zwiększać wydajność pracy i zatrudnienie.

Związkowcy zarzucają wam, że w Komisji Trójstronnej w ogóle nie bierze się pod uwagę ich propozycji.

Nie wydaje mi się, by tak było. Przecież wiele kwestii diskutowanych w komisji zostało tam wniesionych właśnie przez związkowców. W sprawie upowszechnienia systemu emerytalnego zgodziliśmy się na oskładkowanie członków rad nadzorczych, choć Ministerstwo Skarbu wyrażało obawy, że to będzie zbyt wielki dodatkowy koszt. Ale oczekujemy na wzajemność, choćby w kwestii wcześniejszych emerytur górniczych, za które spółki węglowe nie płać.

W kwestii elastycznego czasu pracy rząd i związki pracodawców nie uwzględniły wniosków pracowników.

Według naszych badań pracownicy zgadzają się na wydłużenie okresu rozliczania czasu pracy i bardziej elastyczne godziny pracy, jeżeli dzięki temu mogą zwiększyć stabilność zatrudnienia. Z wyjątkiem pracowników takich branż jak np. górnictwo, które nie muszą liczyć się z kosztami pracy i wymaganiami konsumentów. Wygodniej jest oczywiście pracować w stałych godzinach. Jednak lepiej jest mieć stałą pracę i pracować czasem dłużej, a czasem krócej, niż co pewien czas, kiedy przedsiębiorstwo nie ma zamówień, tracić pracę i przeżywać stres w czasie poszukiwania nowego zatrudnienia.

Oskładkowanie

umów-zleceń nie rozwiąże problemu deficytu systemu emerytalno-rentowego, ale zwiększy emerytury osób pracujących na zlecenie

Dlaczego nie chcieliście się zgodzić na propozycję związków zawodowych w kwestii podniesienia płacy minimalnej? Przecież różni się raptem o 29 zł netto od tegorocznej podwyżki.

Związki zawodowe powołują się na porozumienie z 2009 r., w którego świetle mamy dążyć do tego, by płaca minimalna doszła do połowy średniej płacy w kraju. To jednak przyniosłoby katastrofalne skutki, bo obecna płaca minimalna 1 680 zł stanowi 1/3 płacy przeciętnej w Katowicach i Warszawie, ale aż 2/3 płacy przeciętnej w wielu biednych regionach. Szyb-

sze jej podnoszenie doprowadzi do zwalniania pracowników o niskich kwalifikacjach, w biednych regionach.

Wyjściem byłoby zróżnicowanie płacy minimalnej w zależności od przeciętnej płacy w regionie, ale nie zgadzają się na to związki zawodowe i część partii. Jeżeli chcemy, żeby osoby mało zarabiające miały większe dochody do dyspozycji, powinniśmy zmniejszyć opodatkowanie najniższych wynagrodzeń. W większości państw klin podatkowy rośnie powoli, u nas już niskie dochody obłożone są stosunkowo wysokimi podatkami.

Tylko że mimo rosnącej produktywności polskiej gospodarki średnie płace wcale nie rosną. A powinny. Prof. Mieczysław Kabaj powiedział w wywiadzie udzielonym „Nowej Konfederacji”, że gdyby od 2001 r. płace rosły proporcjonalnie do produktywności, w 2011 r. średnia płaca wyniosłaby 4 660 zł brutto, a nie 3 400. Podwyżka płacy minimalnej administracyjnie zmusiłaby pracodawców do płacenia wyższych pensji.

Oczywiście w długim okresie płace powinny podążać za wzrostem produktywności. W latach szybkiego wzrostu 2006–2008 płace rosły nawet szybciej niż produktywność. Jednak trzeba pamiętać, że tylko część wzrostu produktywności zawdzięczamy lepszej pracy. Resztę zawdzięczamy inwestycjom w nowe technologie i maszyny, a inwestorzy je finansujący oczekują dochodu z zainwestowanego kapitału.

Nie dziwny się, że w kraju takim jak nasz, mającym duże zasoby pracy i skromne zasoby kapitału, płace rosną wolniej niż produktywność. Warto wiedzieć, że utworzenie jednego stanowiska pracy w Polsce kosztuje średnio ok. 200 tys. zł,

w nowoczesnym przemyśle nawet do 2 mln zł. Wydatki na inwestycje wynoszą w Polsce zaledwie 18–22 proc. PKB. Jeżeli chcemy, żeby wynagrodzenia szybciej rosły, musimy zachęcić do inwestowania w naszym kraju. Wraz ze wzrostem inwestycji zwiększy się zapotrzebowanie na pracę i przyspieszy się wzrost płac.

W efekcie rozbieżności zdań, głównie na linii związkowcy–rząd, związki zawodowe wycofały się z prac Komisji Trójstronnej. Co zrobić, by wznowić dialog społeczny?

On się toczy, choć niestety jest rozbity na dialog między rządem a pracodawcami oraz pracodawcami a związkami zawodowymi. Zgadzamy się wszyscy, że efektywność Komisji Trójstronnej była niska. Zmniejszyła poziom napięć społecznych, ale rezultaty były skromne. Obecnie pracodawcy i rząd opowiadają się za usprawnieniem Komisji Trójstronnej, a związki zawodowe za zmianą formuły dialogu.

Proponując Radę Dialogu Społecznego.

Tak. Nie przywiązuję się do nazwy, ważne, by była sprawnym narzędziem prowadzenia dialogu i ułatwiała zawieranie porozumień korzystnych dla rozwoju gospodarczego i społecznego. Co niepokojące, związki chcą dać takiej radzie dodatkowe prerogatywy, dzięki którym parlament nie mógłby podejmować decyzji wbrew jej ustaleniom. To sprzeczne z konstytucją i demokracją parlamentarną, nie jesteśmy państwem korporacyjnym i nie powinniśmy nim być.

Komisja Trójstronna traciła jednak dużo na tym, że nie miała możliwości podejmowania wiążących decyzji.

Jednak wiadomo było, że jeśli wszyscy trzej partnerzy się zgodzą na jakieś rozwiązanie, to Sejm nie będzie stawiał przeszkód, by je uchwalić. W tej czy innej for-

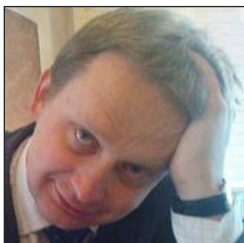
mule ważne jest, byśmy szybko wrócili do rozmów trójstronnych i wyciągnęli wnioski z zaistniałej sytuacji.



STEFAN SĘKOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”

Nowa era Gutenberga



TOMASZ PICHÓR

Wydawca, okazynie publicysta.

Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Uważam Rze Historia”

Powszechne jest przekonanie, że tradycyjna książka jest skutecznie wypierana przez nowoczesne technologie. Czy to jednak pogląd do końca prawdziwy?

Papier ma zostać zastąpiony elektronicznym monitorem, tak samo jak pół tysiąca lat temu druk zastąpił ręcznie pisane inkunabuły. I tak jak wtedy, tak i teraz rewolucja techniczna ma spowodować, że czytanie stanie się coraz bardziej powszechne, a wraz z nim ułatwiony będzie dostęp do wiedzy. Po książki będziemy więc sięgać jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie znikną one zupełnie pod kołami „parowozu dziejów”, tym razem w jego elektronicznej formie.

Przyzwyczajenie vs wygoda

Zresztą przyznać trzeba, że przewagą nad nowoczesną technologią papierowa książka, taka, z jaką codziennie mamy do czynienia, ma raczej niewiele. Czytamy ją przede wszystkim dlatego, że jesteśmy do takiej formy przyzwyczajeni. Ot, choćby weźmy taki drobiazg, jaki zauważył Zygmunt Bauman, z rzadkim w jego wypadku poczuciem humoru: trudno w elektronicznych czytnikach zaginać rogi kartek.

W zamian za to elektroniczne czytniki oferują nam natychmiastowy dostęp do poszukiwanych tytułów, możliwość wyszukiwania pożądaných treści, znajdowania dodatkowych informacji. Więc o ile książka jest raczej biernym nośnikiem wiedzy, to jej nowoczesna wersja znosi wszystkie ograniczenia, jakie są z jej papierowym protoplastą związane.

Dziś jeszcze e-booki starają się naśladować tradycyjną książkę, mają okładki i paginacje, ale coraz bardziej widać, że taka formuła je tylko niepotrzebnie ogranicza. Zapewne już niedługo za książkę elektroniczną będziemy uznawali pliki przepełnione multimediami i odsyłaczami. Przyzwyczajenie do papieru szybko więc ulegnie zwykłej wygodzie, jaką niesie ze sobą elektronika.

Nie znaczy to bynajmniej, że rozwój elektronicznych czytników nie niesie ze sobą żadnych zagrożeń – jest wprost przeciwnie. Wraz z nowoczesną technologią wkraczamy bowiem w świat znany z Orwella: każdy, kto tylko będzie chciał,

będzie mógł wiedzieć, co czytamy, jak czytamy i co szczególnie nas interesuje.

Zapewne taką wiedzę można dobrze spożytkować, oferując nam coraz to nowe produkty, lecz trudno też odrzucić czającą się z tyłu głowy myśl, że informacje o naszych upodobaniach, pragnieniach i gustach będzie można wykorzystać przeciwko nam.

Paradoksalnie na drodze triumfalnego pochodu książki elektronicznej może stać również nadmiar informacji, jakie można w niej zawrzeć. W naszych czasach bowiem dostęp do informacji dawno już przekroczył wszelkie racjonalne miary. Zajmujący się mediami naukowcy mogą co prawda starać się teoretyzować, wprowadzając rozróżnienie między rzeczywistą informacją a towarzyszącym jej, nic nieznaczącym, „białym szumem”, niemniej faktem jest, że ciągle jesteśmy zalewani bezmiarem zupełnie niepotrzebnych danych.

Książka elektroniczna, przy całym swoim bogactwie, niesie ze sobą właśnie ten nadmiar. Mając w ręku czytnik, w zasadzie nie potrzebujemy już nic wiedzieć: wszystkie informacje są przecież w zasięgu ręki, podlinkowane. Zmienia się więc pojęcie wiedzy: liczyć się bowiem zaczyna nie to, co naprawdę wiemy, i wiedza, którą umiemy się posługiwać, lecz jedynie umiejętność znalezienia właściwych informacji. Najlepiej na czas.

Trudno uznać taki stan rzeczy za szczególnie pożądaną. Przecież umiejętność znalezienia informacji nie jest tożsama z jej przyswojeniem, nie mówiąc już nic o jej użytkowaniu. I tutaj właśnie doskonała technologicznie książka elektroniczna musi ustąpić tradycyjnej, papierowej. Jednak nie takiej, jaką znamy z księgarń, wprost przeciwnie.

Powrót do Gutenberga

Kiedy myślimy o technologicznym przełomie, jaki dokonał się wraz z wynalezieniem druku przez Johanna Gutenberga, to tak naprawdę bierzemy pod uwagę tylko postęp technologiczny, nie zaś jego cel.

Gutenberg nie był jedynie skoncentrowany na technicznej nowince, chciał dorównać doskonałym księgom rękopiśmiennym. Stąd też jego wydrukowana w latach 1452–1455 Biblia pięknem dorównywała inkunabułom pracowicie przepisywanym przez mnichów. Przez następne dekady drukarze starali się dorównać dawnym mistrzom. Jednak wraz z upowszechnieniem druku książki stawały się coraz prostsze.

Elektroniczna rewolucja może przyczynić się do prawdziwego renesansu papierowej książki, która ponownie stanie się przedmiotem pożądania i uznania

Symbolicznym końcem epoki dawnego drukarstwa i początkiem książki, jaką znamy obecnie, było z jednej strony odrzucenie w początkach XIX w. historycznego „długiego s”, z drugiej strony odejście w połowie tego stulecia od papieru wytwarzanego ręcznie na rzecz papieru pozyskiwanego z celulozy. Odtąd książka stała się towarem tanim i powszechnie dostępnym.

Taka ewolucja spotkała się jednak ze sprzeciwem. W Anglii, a później w Stanach Zjednoczonych, narodził się ruch niewielkich wydawnictw połączonych z drukarniami, które zaczęto określać terminem „private press”. Choć jego pierwocin można szukać jeszcze w XVIII w., w założonym przez Horacego Walpole’a Strawberry Hill Press, to jednak za właściwy początek uznaje się stworzenie przez Williama Morrisa Kelmscott Press w latach 90. XIX w. Morris odrzucał wielkoprzemysłową cywilizację, zaś stworzony przez niego ruch Art and Crafts miał na celu przywrócenie tradycyjnego użytkowego rzemiosła.

Książki wydawane przez Morrisa, drukowane pod wyraźnym wpływem drukarstwa niemieckiego późnego XV i XVI w., szybko znalazły wielu naśladowców po obydwu stronach oceanu. Takie prace miały niewielki nakład, kilkadziesiąt, nader rzadko kilkaset egzemplarzy. Tym, co odróżniało je od powszechnie dostępnych książek, była niezwykła staranność wykonania. Wydawca i właściciel przedsięwzięcia zwykle był także drukarzem, projektantem i wreszcie księgarzem.

Specyfikę książek wydawanych przez „private press” trafnie uchwycił historyk i typograf Stanley Morison: „Wymagający rzemieślnik zaczyna swoją pracę tam, gdzie dbały drukarz ją skończył. Dodaje bowiem coś istotnego do dzieła uważanego już za skończone”.

Lata 20. i 30. XX w. to czas rozkwitu tego rodzaju oficyn. Najgłośniejsze z nich, takie jak Shakespeare Head Press, Gregynog Press czy też Golden Cockerel Press, opublikowały książki, które były prawdziwymi dziełami sztuki.

O ich popularności może świadczyć nie tylko to, że publikowaniem swoich książek zainteresowani byli choćby zna-

komity pisarz Evelyn Waugh (autor „Powrót do Brideshead”), Virginia Woolf czy też twórca postaci Jamesa Bonda, Ian Flemming. Woolf i Flemming prowadzili nawet własne oficyny (odpowiednio Horth Press i Queen Anne Press)

Wielki kryzys i II wojna światowa powstrzymały rozwój „private press”. Nieoczekiwanie nowy impuls przyszedł wraz z rozwojem techniki. Przejście ze składu typograficznego (czyli w gruncie rzeczy takiego samego jak za czasów Gutenberga) na skład komputerowy, czyli zmiana, do jakiej doszło w latach 70. XX w., ponownie wywołały falę zainteresowania „private press”.

Okazało się bowiem, że współczesny offsetowy druk (by nie wspominać już o druku cyfrowym), mimo że tani i technicznie mało skomplikowany, pozbawia książkę pewnej niepowtarzalnej i trudno definiowalnej aury. Dostajemy do rąk produkt, który przez swoją przemysłową anonimowość niewiele różni się od elektronicznych plików e-booków.

„Private Press” dzisiaj

Produkowane dziś książki nie znajdują się pod przemożnym wpływem Biblii Gutenberga, niemniej dochowują wierności standardom z początków ery druku. Nierzadko także wykorzystują maszyny, czcionki, które mają po kilkaset lat (tak jak Alberto Tallone Editore z Włoch). Miarą siły środowiska jest powstałe w 1996 r. Fine Press Book Association zrzeszające wydawców z dosłownie z całego świata.

Zresztą świat „private press” nie ogranicza się tylko do Anglosasów. W Czechach, w Velkich Losinach powstaje ręcznie robiony papier, jest ceniony na świecie. W Polsce Jadwiga i Janusz Tryzno pro-

wadzą w Łodzi prywatne Muzeum Książki Artystycznej oraz wydawnictwo Correspondance des Arts, które wydało zbiory poezji Czesława Miłosza (z rysunkami Stasysa Eidrigevičiusa) czy też Rainera Marii Rilkego.

Tak przygotowane książki są relatywnie drogie, ich ceny oscylują w granicach 200–250 funtów. Wydawcy jednak nie muszą obawiać się konkurencji ze strony elektronicznych czytników, nie istnieje tutaj także problem piractwa. Każdy bowiem, kto sięgnie po książki wydawane

przez „private press”, będzie szukał nie tylko samej treści, lecz także „ducha”, wszystkiego tego, co świadczy o niepowtarzalności i wartości książki.

Wydaje się więc, że elektroniczna rewolucja może przyczynić się do prawdziwego renesansu papierowej książki, która ponownie stanie się przedmiotem pożądania i uznania. I, co ważniejsze, dalej będzie oddzielała to, co ważne, od tego, co jest tylko zbędnym i chaotycznym „białym szumem” informacji. Zaś w naszych czasach to wartość trudna do przecenienia.

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Darczyńcy:

Czterdziestu Sześciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski

Redakcja:

Michał Kuź (p.o. sekretarza redakcji), Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski.

Redaktor prowadzący:

Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Grzegorz Pytel, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Piotr Woyke.

Grafika (okładki):

Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Skład:

Rafał Siwik

Wydawca:

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt:

redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa